

## Amatorzy i zawodowcy

Wśród koncertów dokumentujących aktualny stan profesjonalnej kultury muzycznej od czasu do czasu, pojawia się impreza szczególna, nietypowa. Najczęściej przyciąga pełne audytorium, chociaż na afiszach brak gwiazd pierwszej czy nawet którejś tam wielkości. Na koncercie takim nie spotkam żadnego snoba, cieszy za to widok rzeszy młodych słuchaczy i wykonawców. Ci młodzi to nadzieja polskiej kultury muzycznej, która przecież rodzi się nie tylko w klasach szkół muzycznych i pracowniach kompozytorskich, ale także, a może nawet przede wszystkim, w murach szkół podstawowych, średnich i uczelni, w naszych domach. Dlatego każdy przejaw szczególnego uczucia do muzyki u tych, którzy nie muszą jej kochać z zawodowego obowiązku, przejaw prawdziwego amatorstwa (wszak amator w języku łacińskim to miłośnik, przyjaciel, a nawet kochanek) zasługuje na skrupulatne odnotowanie.

Takim pięknym uczuciem darzą muzykę studenci, którzy od sześciu lat pracują pod kierunkiem **Edwarda Kulikowskiego** — wizytatora z. Białostockiego Towarzystwa Muzycznego. Ci młodszy ludzie stworzyli Chór Akademicki Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Długo czas nasze miasto szczyliło się, i słusznie, jedynie Chórem Akademii Medycznej. Uczelni przybywało, a jedną z najlepszych kulturalnych ich wizytówek jest właśnie chór akademicki. Tak jest w całym kraju i nie tylko w Polsce. Powstawały zatem kolejne zespoły: przy Politechnice Białostockiej, który dość szybko zakończył swój żywot i Wydziale Lalkarskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Dzisiaj mamy w Białymstoku trzy chóry akademickie.

Spośród śpiewających przyszłych lekarzy, lalkarzy i nauczycieli, najwięcej satysfakcji i nadziei sprawia zamilowanie do czynnego uprawiania muzyki tych ostatnich. Można bowiem przypuszczać, że za rok czy lat kilka, kiedy rozpoczną pracę pedagogiczną, sami spróbują rozśpiewać młodzież w swoich szkołach, lub przynajmniej będą tworzyć tak dzisiaj potrzebną tam atmosferę zamilowania do muzyki i ogólnie — do kultury. Dlatego im więcej studentów przewinie się przez ten Chór, tym lepiej.

Rotacja chórzystów, typowa dla wszystkich zespołów szkolnych i akademickich, jest jednak stałym zmartwieniem dyrygenta. Wiadomo przecież, że w zespołowym muzykowaniu wymiana części zespołu rozbija wypracowaną w trakcie wielu żmudnych prób jedność brzmienia, wspólną interpretację muzyki. Najbardziej renomowane zespoły akademickie, takie jak np. Chór Politechniki Szczecińskiej, dążą do zatrzymania najlepszych swych członków — absolwentów przekształcając się w dwa lub kilka zespołów, z których ten reprezentacyjny składa się w większości z byłych studentów. Chóry takie nie ustępują już profesjonalistom, tyle że ze studenckim zespołem wiąże je związek tylko genetyczny. A nie o to przecież chodzi w tej całej zabawie.

Z chórami podobnie jest jak ze sportem i kulturą fizyczną. Dla własnego dobra, nie dla efektu, wyczynu każdy powinien biegać, pływać, kopać piłką. I stoper jest tu niepotrzebny. Analogicznie nie należy oceniać występów chórów amatorskich w kategoriach "wyczynu".

Czteroletnie studia Filii Uniwersytetu Warszawskiego w porównaniu z sześcioletnimi w Akademii Medycznej dają mniej szans Chórowi Filii. Tym bardziej więc cieszy fakt, iż Chór ten śpiewa bardzo dobrze. Program przedstawiony na styczniowym koncercie w Filharmonii Białostockiej, zawierał 23 kolędy i pastorałki w opracowaniu takich mistrzów chóralistyki jak Stanisław Wiechowicz, Jan Maklakiewicz, Stefan Stuligrosz. Można rzec — program olbrzymi i niełatwy. Interesujące zestawienia, precyzyjna i ekspresyjna interpretacja, a także wykorzystanie typowego już od renesansu przestrzennego różnicowania faktury chóralnej sprawiło, iż tłumnie przybyła publiczność zmusiła wykonawców do kilkakrotnego bisowania. W ten sposób do toczącej się na łamach „Gazety Współczesnej” dyskusji o przyszłej samodzielności uniwersyteckiej uczelni, Chór Akademicki Filii UW dodał również swój pięknie brzmiący głos, który tak by należało skomentować słowem: Chór prowadzony przez Edwarda Kulikowskiego zasłużył na swój Uniwersytet Podlaski.



Chóru, tym razem profesjonalnego, bardzo brakowało w estradowej prezentacji jednej z najpopularniejszych oper Giuseppe Verdiego — *Trubadur*. Wyjątkowo pogmatwane libretto objaśniał w sposób atrakcyjny znany specjalista tej "branży" i ekspert telewizyjnych turniejów — **Józef Kański**. Była to, niestety, jedyna "męska" gwiazda tego wieczoru, bo ani tenor **Bolesław Pawlusa**, płasko i krzykliwie rysujący tytułową postać trubadura Manrica, ani barytonowy głos **Zdzisława Klimka**, śpiewającego partię hrabiego di Luna — nie mogły wzbudzić przekonania do dramatycznych przeżyć postaci. Obaj panowie nie tyle śpiewali, co referowali swe

kwestie, niczym znudzeni, emerytowani urzędnicy. Było to nawet dość zabawne, a dramatyczne, by nie rzec — tragiczne — mogły wydać się jedynie losy gatunku operowego, gdyby ostali się mu tylko tacy rycerze.

Na szczęście były jeszcze dwie panie. Barbara Zagórzanka silnym, dramatycznym sopranem i przejmująca interpretacja stworzyła estradową, jeśli tak można określić, kreację Leonory. Nie ustępowała jej Maria Ćwiakowska; jej dźwięczny, z połyskliwym rezonansem mezzosopran okazał się wspaniałym instrumentem, którym artystka potrafiła z wielką naturalnością przekazać dramat Cyganki Azuceny. Toteż nic dziwnego, że śpiew obu pań wywoływał długo nie milknące brawa. Gdyby przy Podleśnej miast Filharmonii stał teatr operowy, powiedzielibyśmy, że Zagórzanka i Ćwiakowska uratowały spektakl. Całością dyrygował Zdzisław Wendyński, ze zmiennym szczęściem koordynując śpiew solistów z nie najlepszą grą orkiestry, nie nawykłą niestety do zmiennego pulsu i giętkich fraz romantycznej opery. Mimo usterek i większych braków, zaprezentowanie solowych i ansamblowych partii *Trubadura* wzbogaciło bieżący sezon koncertowy Białostockiej Filharmonii. Dodajmy jeszcze, że była to w ogóle pierwsza prezentacja opery Verdiego w naszym mieście,

**STANISŁAW OŁĘDZKI**